

Przyślijcie cukierki

Z Julią Kantor, rosyjską historyczką i publicystką, rozmawia Justyna Prus-Wojciechowska

JUSTYNA PRUS-WOJCIECHOWSKA: W Polsce o blokadzie Leningradu nie wiemy zbyt wiele, a przecież było to jedno z najważniejszych wydarzeń drugiej wojny światowej.

JULIA KANTOR: Rzeczywiście, było to dla mnie szokiem, spodziewałam się, że ze względu na wspólnotę losów w Polakach znajdę zrozumienie. Tymczasem wygłaszając wykład na Krakowskim Uniwersytecie Pedagogicznym, uświadomiłam sobie, że muszę mówić o rzeczach podstawowych. Mam wrażenie, że moi studenci w Petersburgu więcej wiedzą o wojennych losach Polski. Historia blokady dla Rosji jest kluczowa: to nie była jedna z wielu bitew drugiej wojny światowej, to nawet nie Kursk i nie Smoleńsk, ale jedna z największych historycznych traum Rosji.

Czy to doświadczenie można porównać na przykład do powstania warszawskiego bądź powstania w getcie warszawskim?

To jednak odmienne sytuacje. Warszawa została zajęta przez wroga, była przez niego kontrolowana. Leningrad w czasie blokady stał się obozem koncentracyjnym, ale jednocześnie miasto broniło się, przez cały czas produkując i dostarczając pomimo oblężenia naboje, części do czołgów itd. Trzeba pamiętać, że nie wszystkie

zakłady zbrojeniowe zdążono ewakuować i w czasie blokady kontynuowały one pracę.

To był zresztą jeden z ważnych powodów, dlaczego Niemcom tak zależało na zdobyciu miasta, a Sowietom – na jego utrzymaniu za wszelką cenę.

To prawda, ale były też inne przyczyny. Stalin zdawał sobie sprawę, że utrata Leningradu, a co za tym szło opanowanie przez nazistów Morza Bałtyckiego i wyjście na Morze Białe, utrata przedsiębiorstw zbrojeniowych i, co również było istotne, oddanie Niemcom skarbów kultury, może być końcem wojny. Ponadto Hitler traktował zajęcie kolebki rewolucji w kategoriach ideologicznych jako cios moralny wymierzony w bolszewików. W rzeczywistości moralny cios byłby jeszcze większy, bo Leningrad był jedynym miastem, posiadającym status stolicy państwa rosyjskiego, które nigdy w historii nie było zajęte przez wroga. Jeśli chodzi o Niemców, to dokumenty potwierdzają, że starcie Leningradu z powierzchni ziemi było jednym z elementów operacji Barbarossa. Inne dokumenty – z końca września 1941 roku – pokazują, że dowództwo niemieckie nie było zainteresowane pozostawieniem przy życiu jakichkolwiek cywili: zamierzano wymordować wszystkich. Dlatego gdyby

naziści zdobyli miasto, w Leningradzie i na północnym zachodzie ZSRS ofiar byłoby znacznie więcej. Warto tu przytoczyć słowa Ilii Erenburga: „Weszliśmy do Berlina, bo Niemcy nie weszli do Leningradu”.

Reszta Związku Sowieckiego miała świadomość tego, co działo się w Leningradzie?

Nie, o losach miasta informowano w ograniczonym stopniu. Przez cały okres blokady działało radio leningradzkie, co było zjawiskiem niezwykłym, nie ucichło ono nawet na chwilę. W sowieckim radiu centralnym emitowano część leningradzkich audycji, jednak tylko te mówiące o bohaterskiej obronie, co sprawiało, że reszta kraju miała fragmentaryczną wiedzę o sytuacji miasta. Wiadomo było, że są problemy z aprowizacją, ale szczegółów nikt nie znał. Ktoś na przykład wysłał z Kazania list do Leningradu: „Przyślijcie cukierki, bo u nas nie można kupić”. Według zasad wojny nie można przyznać się do słabości, trzeba mówić: miasto się nie poddaje.

Ale o tym, że doszło do całkowitej blokady, władze nie chciały mówić nawet tym, którzy znajdowali się w Leningradzie.

To prawda. Blokada rozpoczęła się 8 września 1941 roku, ale władze miasta nie chciały tego ujawnić ani jego mieszkańcom, ani Moskwie. Andriej Żdanow, pierwszy sekretarz miejskiego komitetu partyjnego, bał się gniewu Stalina, liczył, że uda się przerwać blokadę i poinformować o niej już *post factum*. Co zaś tyczyło się

mieszkańców, Żdanow wychodził z założenia, że nie warto wywoływać paniki i że sprawę uda się jakoś rozwiązać. 13 września „Leningradzka Prawda” podała komunikat Sowieckiego Biura Informacyjnego, że rozpowszechniana przez nazistów informacja o odcięciu dróg kolejowych łączących Leningrad z resztą ZSRS była „typową dla dowództwa niemieckiego przesadą”.

Czas blokady to przede wszystkim koszmarnie doświadczenie głodu: Niemcy zamierzali zamorzyć mieszkańców.

Na szczęście im się to nie udawało. W chwili zamknięcia pierścienia wokół Leningradu zapasów było co najwyżej na dwa miesiące. Miasto nie było przygotowane, także z powodu wcześniejszych zaniedbań. Żelazna rezerwa nie została w odpowiedni sposób zabezpieczona, w sierpniu 1941 roku władze odmówiły nawet przyjęcia dostaw ziarna. W czasach sowieckich mówiono, że głód w latach 1941-1942 był wynikiem zniszczenia przez niemieckie bomby magazynów z żywnością, ale nie była to prawda – w magazynach znajdowała się niewielka ilość zapasów. W każdym razie zapasów na tak długą blokadę i tak nie można było z góry zapewnić i zabezpieczyć. Wprowadzono ścisłą reglamentację, jedzenie wydawano na kartki. Mieszkańców sklasyfikowano i przydzielano im racje pokarmowe. Pod koniec listopada były one już mikroskopijne. Robotnicy dostawali po 250 gramów chleba, dzieci, emeryci – po 125 gramów. To było właśnie słynne *blokadne 125*

gramów. Poza tym, w tym chlebie było nie więcej niż 40 procent mąki.

Zimą nie było ogrzewania, elektryczności, kanalizacji. Żeby się napić, roztapiano śnieg, po wodę chodzono kilometrami, a przemieszczać można było się wyłącznie piechotą, bo transport nie działał. Ludzie czekali na wiosnę jak na zbawienie, bo wtedy można było gotować trawę, zioła z miejskich klombów. Wywary sporządzano nawet ze skórzanych pasków czy z tapet, na których był klej.

Da się określić, ile ofiar pochłonął leningradzki głód?

Dokumentacja do dzisiaj jest niepełna. Nie jest to zresztą kwestia odtajnienia jakichś dokumentów. Do 1943 roku nie prowadzono statystyki, istniały tylko wyrwykowe dane. Wiadomo z nich na przykład, że na Cmentarz Piskariowski, największą zbiorową mogiłę drugiej wojny światowej, przywieziono 15 lutego 1942 roku 8452 osób, 19 lutego – 5569, a 20 lutego – 10 043. Wiosną 1942 roku topniejący śnieg odsłonił dziesiątki tysięcy niepochowanych trupów, obok cmentarzy, na ulicach. Ludzie byli bez sił, nie było transportu, wielu umierało w kolejkach, po drodze do pracy. Deski się skończyły, bo zużyto je do ogrzewania mieszkań, w których zimą panowały minusowe temperatury, stąd typowym obrazkiem z tego okresu był korowód osób ciągnących na sankach zwłoki zawinięte w prześcieradła. Temperatura tej zimy dochodziła do 32 stopni poniżej zera.

Czy byli ludzie, dla których system kartkowy nie przewidywał racji żywnościowych?

Każdy dostawał przynajmniej *blokadne* 125 gramów chleba, kilkadziesiąt gramów kaszy, cukru itd. To była głodowa, obywatelska norma, ale należała się każdemu. Problemem było oczywiście wykonanie tej normy – często wydawano jakieś produkty zastępcze, które nie odpowiadały nawet tej minimalnej porcji. Do sytuacji, kiedy człowiek nie miał prawa do pożywienia, dochodziło wtedy, gdy nie miał kartek: jeśli mu je ukradziono lub zgubił. To była sytuacja straszna. Oczywiście, były też sytuacje straszne – na przykład grupy uprzywilejowane – na przykład pracownicy partyjni, którzy dostawali specjalne dodatkowe normy, znacznie lepsze nawet od tych przysługujących robotnikom. Pracownicy miejskich i obywatelskich komitetów partyjnych mieli nawet system sanatoriów.

W Smolnym, gdzie urzędował Andriej Żdanow, w czasie blokady były podobno ciasteczka.

W latach 1942-1943 w Leningradzie w jednej z piekarni poza chlebem wypiekano nawet ciastka wiedeńskie. W Teatrze im. Puszkina też dawali ciastka – na kartki. Zachowały się dzienniki jednego z urzędników, który opisuje, jak dogadzał sobie podczas pobytu w sanatorium.

To była bezwstydność, w tym samym czasie reszta miasta umierała z głodu. Istniały dwie rzeczywistości: z jednej strony 125 gramów, z drugiej – ciastka wiedeńskie. Poetka Olga Bergholz nieprzypadkowo pisała, że w Leningradzie

w czasie blokady ludzie mieli dużo wewnętrznej wolności. To prawda, bo władza nie wysuwała nosa ze Smolnego.

Blokada Leningradu – co to znaczy dla zwykłego Rosjanina?

Historię Leningradu ludzie albo znają, albo czują. Istnieje świadomość, że to miasto szczególne. Nigdy w żadnym innym wielkim mieście nie było takiego połączenia: strasznej, obozowej wręcz tragedii i jednocześnie pracy dla frontu, produkcji zbrojeniowej. Mówię to bez patosu. Bergholc, która przeżyła blokadę, jeszcze w 1942 roku pisała: „Niech Leningrad będzie miarą godności”. To wyraz przekonania, że koniecznie trzeba wytrwać, oprzeć się. Wcześniej Leningrad był sowieckim symbolem heroizmu, ale dzisiaj jest to dodatkowo symbol męczeństwa i strasznej, niewyobrażalnej tragedii. Żadne miasto od czasów Troi, w dosłownym sensie, czegoś takiego nie przeżyło.

Mówiła Pani kiedyś, że w Leningradzie inteligencja połączyła się z resztą społeczeństwa, we wspólnym oporze zatarły się podziały społeczne. Dla Rosji to chyba dość nietypowa sytuacja.

Tak, z psychologicznego punktu widzenia to bardzo ważne. Dobrze ujął to pisarz Danił Granin, żyjący do dziś uczestnik tych wydarzeń, autor *Księgi blokady* i żołnierz walczący na leningradzkim odcinku frontu. Powiedział, że „inteligencja złąła się z ludem”. W Leningradzie ziściło się to, co zazwyczaj wydaje się niemożliwe.

Losy tego miasta były zresztą tragiczne już wcześniej, po rewolucji. Leningrad

jako jedyny wymusił pewne ustępstwa na władzy sowieckiej – był to jedyny przypadek, kiedy władze w Moskwie przywróciły historyczne nazwy ulic. Działo się to jeszcze w czasie blokady. To była pragmatyczna decyzja Stalina, który zrozumiał, że to miasto walczy nie tylko za państwo, ale i za ojczyznę. I to właśnie tam, już w 1946 roku, uderzyła pierwsza fala powojennych represji Stalina. Między innymi w 1949 roku zamknięto Muzeum Obrony i Blokady.

Dlaczego Stalin zamknął muzeum?

Jak pisał Georgij Malenkov, zamknięto je „za stworzenie mitu o szczególnych losach Leningradu i niewystarczającej uwadze dla roli towarzysza Stalina”. To widać też w innych dokumentach epoki. Leningradczycy nie byli w opozycji, ale nie zapomnieli o blokadzie. Leningrad pokazał, jak można wytrwać, będąc – pod wieloma względami – porzuconym przez władze. Albo z powodu nieudolności, albo ze strachu. Chcę też podkreślić, że w najmniejszym nawet stopniu nie zmniejsza to zbrodniczej odpowiedzialności Hitlera. Właśnie dlatego trzeba było zlikwidować pamięć o Leningradzie, Kreml chciał, żeby był on takim samym miastem jak pozostałe. Bergholc pisała, że „nie znają prawdy o Leningradzie”.

Oblężony Leningrad to jednak nie tylko heroizm i zachowanie godności za wszelką cenę. Były i mroczne karty: kanibalizm, kradzieże, przestępczość.

Oczywiście to prawda. Heroizm ma jednak sens dopiero wtedy, kiedy wiemy,

jakie były okoliczności, musi być z czymś zestawiony. Moja babcia, która była wraz z moją mamą ewakuowana „drogą życia” po lodzie na jeziorze Ładoga w marcu 1942 roku, opowiadała mi, że w latach 1945-1946 w antykwariatach i komisach pojawiła się ogromna ilość rzeczy – serwisy, srebra, futra – przede wszystkim przedrewolucyjnych. Skąd się wzięły? To było oczywiste. W samym centrum Leningradu przed Soborem Kazańskim był czarny rynek. Moja babcia za półtora bochenka chleba sprzedała tam fortepian: taki był przelicznik w Leningradzie w 1942 roku. Ktoś wracał po wojnie z ewakuacji i widział, jak sąsiadka z komunałki, która przeżyła blokadę w mieście, wywiesza na korytarzu siedemnaście płaszczy. Ci, którzy dostawali specjalne racje żywnościowe, wymieniali je na wartościowe przedmioty. Dochodziło też do kradzieży kartek, istniała przestępczość, choć na szczęście nie przerodziła się w masowe zjawisko. Zdarzały się też sytuacje, że ktoś zgubił kartkę i ktoś inny mu ją odnosił [na każdej kartce widniał adres, imię i nazwisko – przyp. red.]. Trzeba rozumieć, że do tego również należało mieć siłę – dojsć pod dany adres, podczas kiedy samemu ledwo powłóczyło się nogami. I to tylko po to, żeby oddać kartkę. Znam tych ludzi osobiście. Dochodziło też do kanibalizmu: w styczniu 1942 roku aresztowano z tego powodu 600 osób, a w lutym – około 1000.

Niezwykłe cennym źródłem informacji o tamtym czasie są dzienniki mieszkańców miasta.

Tak, zachowało się ich wiele. Ich wartość polega właśnie na tym, że były bieżącą relacją naocznych świadków. To nie są wspomnienia, które pisze się z perspektywy lat, coś zapominając, a coś upiększając. Tych pamiętników są setki, tysiące, w tym wiele pisanych przez dzieci czy młodzież. Ośmioletni chłopczyk notuje na przykład w grudniu 1941 roku: „złapaliśmy kota, usmażyliśmy”. Następnego dnia dodaje: „kota zjedliśmy, bardzo dobry”. Znalezienie kota w grudniu naprawdę było wielkim szczęściem, do tej pory wszystkie psy i koty już dawno zjedzono. W filii Muzeum Obrony i Blokady na placu Zwycięstwa znajduje się słynna deseczka, na której dziecięca ręka napisała: „Na tej desce kroiliśmy chlebek”. Wszyscy w jakiś, może podświadomy sposób, odczuwali niezwykłość tej chwili i próbowali ją jakoś utrwalić. Bardzo dużo jest dzienników pisanych przez nastolatków: „Jaka ze mnie swołocz, objadłem siostrzyczkę” – pisze piętnastolatek, którego matka i młodsza siostra leżą w domu, bo nie mogą już chodzić. On odbiera dzienną rację chleba, jednak po drodze, nie mogąc się powstrzymać, zjada mały kawałeczek.

Historycy ciągle znajdują coś nowego w sprawie blokady?

Jeśli chodzi o badanie codzienności tego okresu, to jest to stosunkowo nowy kierunek i zajmuje się nim przede wszystkim petersburski historyk Siergiej Jarow – autor między innymi niedawno wydanej książki *Życie codzienne w oblężonym Leningradzie*. Życie „blokadnika” charakteryzowało to, że nigdy nie wiedział, czy będzie następny

wieczór, następny poranek. Jarow wyszedł więc ze słusznego założenia, że nie ma jednakowych, podobnych do siebie dni, każdy jest inny. Analizował przede wszystkim dzienniki, setki zapisków i dopiero wskutek tych dociekliwych badań wyłoniła się – co może zabrzmieć brutalnie – anatomia blokady, historia choroby. W tym sensie Jarow jest wyjątkowy, choć ta praca dużo go kosztowała: posiwiął, wychudł. Dla mnie jako historyczki bardzo ciekawa jest psychologia historyczna. W ostatnim czasie pojawiło się na przykład kilka prac poświęconych medycznym konsekwencjom blokady w drugim, trzecim pokoleniu, takim jak zaburzenia przemiany materii czy bardzo słabe zęby.

A z psychologicznego punktu widzenia, co charakteryzowało tych, którzy przeżyli blokadę?

Towarzyszył im ciągły stres: nie wiesz, co stanie się za godzinę, nie znasz nawet grafiku bombardowań. W książce *Leningradczycy* znalazł się między innymi dziennik kobiety, która cenzurowała listy. Zapisywała w nim ich najciekawsze fragmenty. W jednym z nich mały chłopczyk pisze, że najbardziej kocha „mamę, tatę i *otboj*”, czyli chwilę, kiedy kończy się bombardowanie i można wyjść ze schronu. To jest psychologia obozu, połączona z psychologią walki obronnej i stania na brzegu zbiorowej mogiły.

Moi rodzice do tej pory nie są w stanie wyrzucić kawałka chleba. Znam rodziny, w których dzieci są uczone od małego, że nawet okruszek nie może się zmarnować. Blokada pozostała w nich jak rana, o której nie chce się mówić, ale i milczeć nie można. ❄️

Julia Kantor jest rosyjską historyczką i publicystką. Profesor Uniwersytetu Pedagogicznego im. Aleksandra Hercena w Sankt Petersburgu, doradczynie dyrektora Państwowego Muzeum Ermitażu, redaktorka dodatku historycznego do „Rossijskoj Gaziety”.